

Lech K. Paprzycki

Między Pretorią a Przylądkiem Dobrej Nadziei

Palestra 37/1-2(421-422), 29-43

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Należę do pokolenia, które zaczynało „poznawanie” Afryki od lektury „W pustyni i w puszczy” oraz ukazujących się w drugiej połowie lat pięćdziesiątych książek Alfreda Szklarskiego, niedawno zmarłego, bardzo popularnego autora powieści przygodowych dla młodzieży.

Afryka dla nas, dorastających w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, to przede wszystkim wybijający się na niepodległość kontynent. Jego obraz, niezwykle uproszczony w oficjalnej propagandzie, usilnie poszukującej „socjalistycznych wątków”, uzupełniały książkowe i fabularne relacje polskich podróżników. Również kino fabularne nie zapomniało o Afryce, rącząc nas pierwszymi kolorowymi obrazami, jakże pobudzającymi wyobraźnię.

Później wizerunek Czarnego Lądu zaczął się komplikować. Epoka postkolonialna okazała się coraz trudniejsza, a trudności ekonomiczne współczesnego świata odciskały najbardziej tragiczne piętno właśnie na Afryce, która również stała się areną walki o wpływy polityczne mocarstw. Rezultaty obserwujemy dziś – brak stabilizacji politycznej, niewyobrażalne trudności ekonomiczne, wyniszczający głód na południe od Sahary, a przede wszy-

Między Pretorią a Przylądkiem Dobrej Nadziei

skim brak wyraźnej nadziei na przyszłość.

Po 1989 r., gdy polityka zagraniczna Polski uwolniła się spod obecnej kurateli, sytuacja w Afryce jeszcze bardziej się skomplikowała, zwłaszcza gdy przystąpiliśmy do nawiązywania stosunków politycznych i ekonomicznych z Republiką

Południowej Afryki.

W tzw. Kontraktowym Sejmie X Kadencji większość tego, co robiliśmy, robiliśmy pierwszy raz od okresu przedwojennego. Do takich czynności należało nawiązywanie kontaktów międzynarodowych. Możliwości wyjazdów zagranicznych było bardzo dużo, chętnych do podróżowania tyłuż, natomiast tych przydatnych w międzynarodowej wymianie zdecydowanie mniej. Wśród posłów tej kadencji było bardzo wielu takich, którzy nigdy poza rejon Europy Wschodniej nie wyjeżdżali. Nie należałem jednak do nich, odbywając dość liczne podróże, i to już od lat sześćdziesiątych, do Europy Zachodniej, Afryki Północnej i na Bliski Wschód. Nie kryłem nigdy, że lubię wyjeżdżać za granicę i z każdej nadarzającej się w Sejmie okazji korzystałem. Spieszę jednak uspokoić Podatników, że wszystkie te wojaże odbywały się na zaproszenie i koszt zagranicznych instytucji.

Wśród innych, trafiło w 1990 r. do Sejmu zaproszenie do uczestniczenia w konferencji w Pradze, organizowanej przez mało w Polsce znane Stowarzyszenie Parlamentarzystów Zachodnioeuropejskich na Rzecz Walki z Apartheidem (AWEPA), z siedzibą w Amsterdamie. Zaproszenie to nie wywołało większego zainteresowania wśród czołowych polityków sejmowych, zwłaszcza że wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, iż udział polskiego delegata może być dość kłopotliwy w okresie, gdy zaczęliśmy nawiązywać kontakty z RPA. A ponadto, wyjazd do Pragi, cóż to za atrakcja. Nie sposób tego poglądu nie podzielić. Zdecydowałem się jednak pojechać wraz z Posłem z Unii Demokratycznej, nakłoniony przez Panią Poseł, która w obecnej kadencji Sejmu zrobiła najświetniejszą karierę.

Kto zna Pragę, a przecież takich jest wielu, ten wie, że to przepiękne miasto można odwiedzać wielokrotnie, za każdym razem odnajdując je na nowo. Przy pięknej pogodzie Praga znów okazała się pełna uroku. Sama konferencja nie była czymś wyjątkowo interesującym, choć była okazja do zapoznania się z aktualną sytuacją w RPA. Informacja w tym zakresie nie była pełna, gdyż w konferencji uczestniczyli przede wszystkim sympatycy Afrykańskiego Kongresu Narodowego, nie było zaś przedstawicieli konkurencyjnej organizacji ludności murzyńskiej – Partii Wolności Inkatha, i przedstawicieli ludności białej. Szczególnie interesujące okazały się kularowe rozmowy z członkami Stowarzyszenia AWEPA. Większość z nich to Holendrzy i Anglicy, którzy wiele lat spędzili w Afryce, w tym przede wszystkim w RPA. Ich wspomnienia dla kogoś przybywającego z Polski były czymś

fascynującym. Wtedy też miałem okazję poznać Prezydenta AWEPA – Jana Nico Scholtena i Dyrektora Biura Stowarzyszenia – Panią Barty Lürchman-Fuchs.

W 1992 r. ponownie otrzymałem zaproszenie do uczestniczenia w konferencji AWEPA, tym razem w Wiedniu, pod hasłem: Europa Środkowa i Afryka Południowa w dobie przemian. Nie będąc obecnie posłem na Sejm, uczestniczyłem w obradach jako były parlamentarzysta. Pomoc finansowa Fundacji F. Eberta w Warszawie i tym razem okazała się niezbędna, mimo niewielkiej odległości przelotu.

Sama konferencja odbywała się w zupełnie innej atmosferze niż ta praska w 1990 r., zwłaszcza, że prawie wszyscy byli przekonani, że dopiero co przeprowadzone (październik) wybory w Angoli utrwały proces stabilizacji politycznej na południu Afryki. Sceptyków było niewiele, choć niedługo miało się okazać, że mieli trochę racji. Moje wystąpienie, zgodnie z oczekiwaniami organizatorów, dotyczyło aktualnej sytuacji politycznej i ekonomicznej oraz perspektyw rozwoju stosunków Polski z państwami z południowej części Afryki.

Zupełnym zaskoczeniem była propozycja J.N. Scholtena wzięcia przeze mnie udziału w misji AWEPA, w listopadzie 1992 r., do Republiki Południowej Afryki. Początkowo przypuszczałem, iż źle zrozumiałem wypowiedź mojego rozmówcy, który ma zwyczaj używania dość krótkich, niedokończonych zdań. W tydzień po powrocie do Warszawy otrzymałem jednak założenia programowe wizyty oraz informację o listopadowym terminie.

Przygotowania, nie tylko techniczne, okazały się dość proste, choć nie pozbawione pewnych komplikacji. My

już zdążyliśmy zapomnieć o ograniczeniach paszportowo-wizowych, ale nie zapomniano o tym w RPA, która dopiero otwiera się na świat, po dłuższym okresie izolacji. Przypuszczam, że zwłaszcza tamtejsi urzędnicy pełni są niufności, może w szczególności do przybyszów z rejonu Europy Środkowo-Wschodniej. Jednakże w konsulacie warszawskim zostałem przyjęty niezwykle uprzejmie, a rekomendacja AWEPAА została uznana za wystarczającą. Miałem zgłosić się za tydzień, czyli trzy dni przed wyjazdem. W związku z tym złożyłem wizytę w MSZ, informując o swoim wyjeździe. W Wydziale Afryki uzyskałem podstawowe informacje, również o pogodzie i zapewnienie, że ktoś z Ambasady RP w Pretorii odbierze mnie z lotniska.

Wszystko wydawało się być w najlepszym porządku, ale gdy zjawiłem się w konsulacie po odbiór paszportu – wizy nie było i w zasadzie nikt nie był w stanie udzielić mi odpowiedzi na pytanie: dlaczego? Zapewniano mnie jednak, że to kwestia godzin, po uzyskaniu decyzji MSZ w Pretorii. Kiedy w przeddzień wyjazdu wizy jeszcze nie było, poprosiłem o rozmowę z konsulem. Był niezwykle uprzejmy, i znów uzyskałem zapewnienie, że na pewno zdążą. I rzeczywiście, po godzinie konsul osobiście zatelefonował do mnie, że wizę otrzymałem.

W sobotę 31 października rano była gęsta mgła. Ogarnął mnie niepokój, bo we Frankfurcie, skąd odlatuje samolot Lufthansy do Kapsztadu, mam tylko godzinę na przesiadkę, a przecież bagaż przy takiej wyprawie jest prawie najważniejszy. Sporo przed terminem odlotu przyjeżdżam na Okęcie. Sobotni wieczór jest tu niezwykle spokojny. O piątej po południu w sobotę do pół-

nocy już tylko cztery odloty. W hali dworca prawie pusto. Odprawa paszportowa nieco znudzonego funkcjonariusza Straży Granicznej trwa chwilę. W samolocie do Frankfurtu tylko połowa pasażerów. Natomiast we Frankfurcie, na jednym z największych lotnisk świata, ruch olbrzymi. Znam ten dworzec dobrze, więc bez trudu trafiam do biura tranzytowego Lufthansy, a potem do właściwego wyjścia, jednego z kilkudziesięciu. Tu formalności wszędzie trwają bardzo krótko. Czekam wraz z kilkuset innymi pasażerami na wyjście do samolotu. Wychodzimy na płytę lotniska, bo tylko pasażerowie pierwszej klasy wchodzą na pokład „rękawem” na „drugie piętro” – pozostali wygodnymi schodami na pierwsze, ale bardzo wysokie „piętro”. Jumbo-jet, jakim lecimy, zawsze robi wrażenie, nawet jeżeli nie jest to pierwsza podróż tak wielkim samolotem. Jego ogrom przytłacza, zwłaszcza, jeżeli patrzy się z dołu.

W mojej, turystycznej, klasie, w której przelot na trasie ponad 15 000 km i tak kosztuje „majątek”, nie jest nazbyt komfortowo. W jednym rzędzie, z dwoma przejściami, siedzi 10 pasażerów. Mam miejsce w środku, co, jak wynika z mego doświadczenia, nie jest najlepsze. Same fotele trudno uznać za wystarczająco wygodne, jeżeli trzeba w nich spędzić niemal pół doby, i to w nocy.

Lecimy, lecimy, lecimy... całą noc, prawie 12 godzin. Kolejne filmy w telewizji nieciekawe, muzyka w radio dość przyjemna, temperatura, jak dla mnie trochę za wysoka, ale większość pasażerów przykryta kocami. Obsługa niezwykle uprzejma i sprawna, co się okazuje przy kolejnych posiłkach. Zwraca też uwagę troska o osoby starsze i dzieci, których nie brakuje. Tro-

chę rozmawiam z sąsiadami. Po godzinie, przy częściowo wygaszonych światłach, robi się prawie idealna cisza. Nie śpię, więc po zakończeniu programu telewizyjnego obserwuję na monitorze trasę przelotu. Najpierw nad Alpami, a następnie dalej, na zachód od Korsyki i Sardynii. Granicę Afryki przekraczamy lecąc gdzieś między Algierią a Tunezją, potem wzdłuż granicy libijskiej na południe. O godz. 5¹⁰ nagle pojawia się słońce, piaskowego koloru, jaskrawe. Ziemia pod chmurami. Potem chmury ustępują trochę, ale na ziemi jeszcze mrok. Pasażerowie zaczynają się budzić. Pojawia się telewizyjna mapa. Minęliśmy równik. O godz. 6³⁰ flyrobic – gimnastyka w samolocie bez wstawania z miejsc. Na pewno wskazana, ale uczestników niezbyt wielu. Po śniadaniu wszyscy przygotowują się do lądowania.

Jumbo-jet ląduje z taką samą lekkością, z jaką startował we Frankfurcie. Słyszymy w trzech językach (niemieckim, angielskim i afrikaans), zwykle w takich sytuacjach informacja. Lecz nagle w dodatkowym tekście w języku niemieckim słyszę swoje zniekształcone nazwisko i dopiero w wersji angielskiej dowiaduję się, że kapitan informuje pasażerów, że oto przybywa do RPA sędzia Sądu Najwyższego RP i Ambasador oczekuje go na lotnisku. Jestem jeszcze bardziej zaskoczony, gdy podchodzi do mnie szef załogi pokładowej (poznaje po liczbie pasków na rękawie), zabiera mój mały bagaż podręczny, i odprowadza mnie do drzwi samolotu. Wychodzę jako pierwszy i bez trudu rozpoznaję Pana Ambasadora Stanisława Cieniucha, gdyż spora grupa innych osób zatrzymała się nieco dalej.

Już po kilku minutach jesteśmy na terenie dworca lotniczego lotniska Jana Smutsa. Tam formalności, dzięki pomocy Ambasadora, trwają krótko, choć przy okazji dowiaduję się, że południowoafrykańscy urzędnicy potrafią być dociekliwi. Przekonuje mnie o tym wypełniana deklaracja wjazdowa, z której dowiaduję się, że władze RPA interesuje w szczególności cel mego przyjazdu.

Ambasador przyjechał z kierowcą, który zajmuje się moimi bagażami. Jedziemy do Johannesburga, do Protea Gardens Hotel. Ponieważ jest rano (około godz. 10⁰⁰) Pan Ambasador proponuje, upewniwszy się, że nie jestem zmęczony, by zwiedzić Pretorię, a następnie zaprasza na obiad do swojej rezydencji. Przystaję natychmiast na tę propozycję, i uczyniłbym tak samo, gdybym był nawet skrajnie zmęczony.

Nie czuje się tchnienia gorącej Afryki. Pan Stanisław Cieniuch uspakaja mnie, że to poranek, jest dość pochmurno, a w nocy przeszła burza, choć jej śladów nigdzie nie widać. Ale to dopiero początek pory deszczowej, woda prawie natychmiast paruje, a zieleni jeszcze niewiele. Zwracają uwagę fioletowo kwitnące drzewa, którymi obsadzone są drogi i ulice w mieście. Nazwy drzew nie pamiętam, wiem tylko, że kwitną raz w roku, i to na bardzo krótko – miałem zatem szczęście.

Upału nie ma, ale w porównaniu z listopadową Warszawą, w ogóle nie ma o czym mówić. W hotelu, w eleganckim dwupokojowym pomieszczeniu na 13 piętrze, o znamienym numerze 1313, przebijam się zdecydowanie w letni strój.

Autostradą do Pretorii jest niewiele ponad 50 km i po 20 minutach jesteśmy na miejscu. Pan Ambasador zo-

staje w domu, ja udaję się na przejażdżkę z kierowcą – Burem, który niedawno stracił dość wysokie stanowisko w jednym z bankrutujących przedsiębiorstw. Okazuje się być człowiekiem bardzo miłym, uczynnym, znakomicie znającym obydwie miasta.

Ani w Pretorii, ani w Johannesburgu nie można w ogóle mówić o zabytkach w europejskim tego słowa znaczeniu. Najstarsze obiekty, jakie widziałem, to XIX-wieczne budynki instytucji kolonialnych, wszystkie utrzymane w nienagannym stanie – część została poddana zabiegom renowacyjnym. Sporo starszych budynków, zwłaszcza w Johannesburgu, znajduje się na przedmieściach i w dzielnicach przemysłowych. Nie wiem, w jakim stopniu jest to realizacją przyjętej koncepcji, ale odniosłem wrażenie, że obiekty bez większej architektonicznej wartości i znajdujące się w złym stanie technicznym są rozbierane, pozostałe zaś poddawane zabiegom konserwatorskim.

Pretoria i Johannesburg bardzo się od siebie różnią, ale jednocześnie łączą je supernowoczesny charakter centrum, gdzie budynki są nie mniej nowoczesne i imponujące niż w jakiegokolwiek metropolii na świecie. Są to bez wątpienia miasta nowoczesne i niezwykle bogate, choć, jak na całym świecie, nie dla wszystkich. W Pretorii nie widziałem dzielnic ubogich, ale byłem tam krótko. W tym mieście przeważają kwartały budynków rządowych, administracyjnych, centra gospodarcze i handlowe, a także dzielnice mieszkalne ludzi zdecydowanie zamożnych. Zwraca uwagę, że w mieście położonym wśród wzgórz i na wzgórzach, znajduje się kompleks budynków Uniwersytetu Południowoafrykańskiego, gdzie w supernowoczesnych obiektach

studiuje, również w systemie studiów zaocznych, około 120 000 studentów z całego obszaru południa Afryki. Jak mnie zapewniano później w Kapsztadzie, w bibliotece tego uniwersytetu znajduje się komplet literatury prawniczej polskiej i orzecznictwa Sądu Najwyższego, poczynając od 1945 r.

Oglądam w Pretorii budynki, place i pomniki minionej kolonialnej chwały z obawą, podzielaną przez mojego przewodnika, że może to już ostatnia okazja, gdyż w czasie demonstracji czarnej ludności niejednokrotnie dochodziło już do prób niszczenia monumentów. Pomniki w Pretorii, Johannesburgu czy w Kapsztadzie są bez wątpienia dziełami sztuki i powinno się je zachować. Jedziemy do Muzeum Wojskowego, gdzie przeważają ekspozycje z okresu I i II Wojny Światowej oraz najnowsze „zdobycze” – sprzęt radziecki z czasu wojny w Angoli. Potem zwiedzamy Muzeum Wielkiego Treku, oryginalne w swym kształcie architektonicznym, mające specjalne zbiory, dokumentujące wielką wędrówkę z prowincji kapsztadzkiej na północ.

Po dwóch godzinach wracamy do rezydencji Ambasadora. Rozmowa w czasie obiadu i później koncentruje się wokół spraw polskich w Kraju i tu w Południowej Afryce. Mówimy oczywiście o polityce, ale bez angażowania się po stronie którejkolwiek z partii. Pan Ambasador, jako uroczy gospodarz, okazuje zainteresowanie wypowiedzianymi przeze mnie ocenami. Jestem jednocześnie źródłem informacji, gdyż olbrzymia odległość sprawia, że wiadomości docierają tu ze znacznym opóźnieniem. Przywiozłem ze sobą kilka polskich czasopism, które się tu na pewną przydadzą.

Informuję Ambasadora o celu misji AWEPA. Pada sugestia, by wykorzy-

stać tę może niepowtarzalną okazję pobytu w RPA i odwiedzić Prowincję Kapsztadzka (*Cape Province*), korzystając z gościnności tamtejszej Polonii. Myśl wydaje się wyśmienita, ale towarzyszy jej niepokój o koszty wyprawy – wszak to od Pretorii prawie 2 000 km. Można jechać autobusem, ale podóż trwa dwa dni, choć kosztuje tylko około 80 dolarów (170 randów), samolotem tylko dwie godziny, ale osiem razy drożej, bo o klasę turystyczną niełatwo. Szybko przeliczam zawartość portfela i wstępnie decyduję się. Dla omówienia szczegółów mam zatelefonować do Ambasady następnego dnia.

Tuż przed zapadnięciem zmroku opuszczam dom Państwa Cieniuchów w przeświadczeniu o ich życzliwości i serdeczności, jak się wyjeżdża od starych, dobrych znajomych.

Kierowca odwozi mnie do Johannesburga. Po drodze zaczyna padać niespodziewanie ulewny deszcz, który jak nagle się pojawił, tak równie szybko zniknął. Po kilku dalszych minutach ziemia znów była wyschnięta, czerwona, jak wszędzie w tym rejonie. Mój miły towarzysz podróży zapowiada burzę w nocy. Zaraz zapominam o tej wróżbie, ale nie na długo. Jeszcze przez godzinę jeździmy ulicami Johannesburga, w niedzielę wyludnionego, oglądam najciekawsze obiekty, tak jak poprzednio w Pretorii robię zdjęcia.

Późnym wieczorem docieram do hotelu, żegnany przez kierowcę przypomnieniem o konieczności przestrzegania dość surowych zasad bezpieczeństwa.

Po wejściu do pokoju zastaję informację, że już wszyscy członkowie misji są na miejscu. Mając chwilę czasu przeglądam zestaw informacji hotelowych. Spotykam się z tym jeszcze raz – kolej-

ne ostrzeżenia: w zasadzie nie chodzić samemu po ulicach, w szczególności ze sprzętem turystycznym, nie wychodzić po zmroku, wieczorem poruszając się samochodem należy mieć zablokowane drzwi od wewnątrz. Traktuję to poważnie, gdyż Ambasador Cieniuch dopiero co opowiedział mi o napadzie przy użyciu noża przez grupę Murzynów na obywatela polskiego na ulicy, i to w centrum Johannesburga. Wyglądam przez okna na ulicę. Ludzi nie widać, tylko samochody. W nocy zostaję wyrwany ze snu oszałamiającym wręcz hukiem. Spoglądam na okna, przez które nic nie widać, gdyż zalane są potokami wody. Huraganowy wiatr, któremu towarzyszy huk nieustannych wyładowań elektrycznych, dopełnia obraz tropikalnej burzy. O tym, żeby usnąć, nie może być mowy. Po pewnym czasie deszcz ustaje, widok zaś wypełnionego błyskawicami nieba jest jedyny w swoim rodzaju. Burza ustaje prawie w jednej chwili, niebo staje się jednolicie czarne, a pod nim znów widać rozświetlone po horyzont miasto.

Rano ani śladu nocnej nawałnicy, świeci słońce, a jaka jest temperatura dowiem się, gdy wyjdę z klimatyzowanego hotelu. W czasie śniadania poznaję członków misji. Okazuje się, że znam ich wszystkich z praskiej i wiedeńskiej konferencji: J.N. Scholten – Prezydent AWEPA, Pani B. Lürchman, pięciu parlamentarzystów zachodnioeuropejskich oraz dr J. Balch z African-European Institute z Amsterdamu. Teraz dowiaduję się o szczegółach programu. Czytam również miejscowe gazety, z których wynika, że toczą się już walki w Angoli, a tej nocy w odległości około kilometra od mojego hotelu zostało zabitych 11 osób przez napastnika uzbrojonego w pistolet maszynowy.

W tym i następnym dwóch dniach poruszamy się między Johannesburgiem i Pretorią, korzystając ze średniej wielkości mikrobusek, na szczęście klimatyzowanego, gdyż zaczęły się prawdziwie afrykańskie upały. Urzędowy charakter składanych wizyt nakazywał oficjalny strój. Wszystkie odwiedzone przez nas urzędy i instytucje też miały klimatyzację, a więc upał doskwierał tylko w drodze do i z samochodu. Nietrudno sobie wyobrazić, jak w temperaturze blisko 40°C, odbierało się Bożonarodzeniowy wystrój ulic, ze Świętym Mikołajem podróżującym saniami.

Podczas oficjalnych spotkań mieliśmy okazję rozmawiać z przedstawicielami: Południowoafrykańskiej Rady Kościołów, Afrykańskiego Kongresu Narodowego, Kagiso Trust, IDASA (*Institute for a Democratic Alternative*

for South Africa), Stowarzyszenia Prawników na Rzecz Praw Człowieka (*Lawyers for Human Rights*) Korporacji Anglo-Amerykańskiej, *Joint Enrichment Project*, Komitetu na Rzecz Edukacji dla Demokracji, a także z przedstawicielami rządu RPA, wśród których najbardziej interesującym rozmówcą okazał się R. Meyer – Minister Urzędu do Spraw Konstytucji.

Nie sposób pominąć wrażeń wyniesionych z wizyty w murzyńskiej dzielnicy Soweto. W czasie naszego tam pobytu było w zasadzie spokojnie, ale był to spokój pozorny, o czym mieliśmy się niebawem przekonać. Z gazet wiedzieliśmy, że utrzymuje się tam stan napięcia, choć tym razem dotyczyło to innej murzyńskiej dzielnicy Johannesburga – Aleksandry. Wszystkie te dzielnice położone są kilkanaście kilo-



Na fotografii od lewej:
F. Jackson, autor oraz B. Simons – członek delegacji AWEPA
fot. autora

metrów od obecnego centrum miasta, na obrzeżach dawnych terenów przemysłowych, w rejonie wysypisk po urobku z kopalni złota. Do Soweto prowadzą drogi na wskroś nowoczesne, nawet dwujezdniowe, a kiedy zabudowania zobaczy się po raz pierwszy z dużej odległości sąsiedniego wzgórze, ogólne wrażenie jest zupełnie dobre. Pamiętam przecież dramatyczne relacje naszej prasy, co spowodowało, że oczekiwałem widoków koszmarnych. Zatrzymujemy się w pobliżu kwartału zamieszkałego przez Murzynów z plemienia Khosa. Po kilku minutach podchodzi do nas F. Jackson, zresztą Zulus, przewodzący tej wspólnoty. Informuje nas o tym, co się teraz dzieje w tym rejonie. W jego ocenie wciąż jest źle. Policja nie wykonuje swoich zadań, przyczyniając się świadomie do eskalacji wydarzeń. Muszą sobie radzić sami, a z relacji F. Jacksona wynika, że radzą sobie źle, gdyż nie potrafią się zorganizować.

Domy w Soweto, bardzo skromne, niektóre wręcz nędzne, są także skromnie wyposażone, choć doprowadzona jest elektryczność i woda, jest też również kanalizacja. Ku naszemu zaskoczeniu widzimy kilka nowych domów, w porównaniu z dotychczasowymi, prawie, z zewnątrz, luksusowych. Rozmawiamy z mieszkańcami, niewątpliwie ubogimi, niektórzy wyglądają wręcz na nędzarzy, ale większość ubrana dość porządnie. Teren osiedla w zasadzie dość dobrze utrzymany, jednakże na jego obrzeżach liczne dzikie wysypiska śmieci. Oglądamy domy po napadach i podpaleniach, znajdujące się na granicy z osiedlami Zulusów i kolejnego osiedla Murzynów z jeszcze innego plemienia, którzy pozostają w konflikcie z Zulusami i Khosami. Rozdziela ich droga, betonowe ogro-

wienia z zwoje drutu kolczystego. Walki międzyplemienne, choć teraz mniej intensywne, ciągle trwają. Nocne strzelaniny nie należą do rzadkości. W ocenie, nie tylko władz, w Soweto są tysiące sztuk broni. Teraz najczęściej dochodzi do nocnych napadów i podpażeń domów znajdujących się na granicy osiedli. Okna domów od strony osiedli wrogów po wszystkich trzech stronach są zabarykadowane w obawie przed wrzuceniem materiałów zapalających. Słyszymy dramatyczne relacje osób, którym wymordowano całą rodzinę. Wychodzi do nas staruszka, której córka zginęła kilka tygodni temu. Obraz przygnębiający, choć nie tak niezrozumiały, jak po wybuchu konfliktu jugosłowiańskiego. Najgorsze jest, że nikt tu, w Soweto, nie wierzy w możliwość porozumienia.

Jak wszędzie i tu robię zdjęcia. Gdy stoję na drodze „granicznej”, prosząc jednego z kolegów o ujęcie wszystkich trzech osiedli, F. Jackson gwałtownie ostrzega, by natychmiast wracać, bo strzały zdarzają się również w ciągu dnia.

Odwiedzamy jeszcze najnowocześniejszą w rejonie Johannesburga szkołę średnią, zbudowaną parę lat temu przez Korporację Anglo – Amerykańską. Z daleka wygląda bardzo dobrze, jest podobna do „zbiorowych szkół gminnych” z lat siedemdziesiątych w Polsce. Uczniów niewielu, gdyż jest to dzień przed maturą. Zwiedzamy pawilony obiektu, oprowadzani przez dyrektora, elegancko ubranego mężczyznę. Szkoła jest wewnątrz zaniedbana, miejscami nawet zdewastowana – dyrektor zdaje się tego nie dostrzegać.

Odniosłem wrażenie, że Murzyni w ogóle nie mieszkają w śródmiejskich dzielnicach Johannesburga, Pretorii i Kapsztadu. Większość ich, pra-

cujących w tych miastach, dowożonych jest niejednokrotnie z dużych odległości. Ci, którzy mieszkają u swych pracodawców, zostawili na ogół rodziny tam, skąd przybyli. Na ulicach tych trzech miast niejednokrotnie spotykałem Murzynów, ale o jakimkolwiek kontakcie nie mogło być mowy, z różnych zresztą powodów. Nie można było przewidzieć, jak zareagowałyby zagadnięta osoba, czy porozumienie ze względów językowych byłoby w ogóle możliwe i problem zasadniczy – o czym rozmawiać z kimś, o kim się nic nie wie. Raz tylko, gdy stałem przed wejściem do domu towarowego w Kapsztadzie podeszła Murzynka pytając, czy jest nam coś wiadomo o osobach poszukujących służącą. Niestety, nic nie wiedzieliśmy.

Nie może dziwić brak czarnej ludności w centralnych dzielnicach tych właśnie trzech miast. Są one przecież zasiedlone od bardzo dawna, przede wszystkim przez białych, choć nie brak tam całych kwartałów domów zamieszkałych wyłącznie przez ludność pochodzenia hinduskiego, arabskiego czy żydowskiego. Oni też trzymają się razem, a z tego co się dowiedziałem, kupienie na przykład domu w dzielnicy hinduskiej przez obcego jest w zasadzie niemożliwe. Istotna jest przede wszystkim bariera ekonomiczna – ceny nieruchomości i mieszkań z całą pewnością przekraczają możliwości większości murzyńskich rodzin. W końcu nie można zapominać, że rezygnacja z polityki apartheidu to kwestia ostatnich kilku lat. Na dające się zaobserwować zmiany w tym zakresie trzeba będzie poczekać zapewne dłużej niż jedno pokolenie.

Czy widziałem gdzieś przejawy rasizmu? W zasadzie nie. Nie można jednak wykluczyć, że gdybym odwiedził

inne rejony RPA, małe miasta i rejony wiejskie – obraz byłby zupełnie inny. Natomiast w Kapsztadzie i okolicach niejednokrotnie obserwowałem zwykłe „ludzkie” zachowania osób o różnych kolorach skóry, takie jakie widzi się w Londynie lub Amsterdamie.

Z całą pewnością nie wszędzie jest tak dobrze, a nastroje rasistowskie nie są czymś odosobnionym. Przekonała mnie o tym rozmowa z jedną bardzo miłą, niewątpliwie kulturalną i dystyngowaną damą. W toku ożywionej dyskusji, której uczestnicy z dużą troską wypowiadali się o sytuacji politycznej i społecznej na południu Afryki powiedziała, że jej zdaniem to wszystkich czarnych należałoby z tej części Afryki „wymieść miotelką”, choć miałem wrażenie, iż nie miała ona na myśli miotelki, a przyrząd o większej skuteczności „oddziaływania” – ale o to już nie zapytałem.

Wszelkie uproszczenia są niedobre. Problematyka odejścia od polityki apartheidu i ustanowienia demokratycznego państwa prawnego w RPA nie jest prosta. A z propozycjami rozwiązań „jedynie słusznych” i prostych spotykałem się w Południowej Afryce niejednokrotnie, i to zarówno ze strony przedstawicieli władz, jak i organizacji ludności murzyńskiej oraz innych organizacji działających na rzecz demokratyzacji.

Nawet mój krótki pobyt w tym państwie pozwolił przekonać się o tym, że sytuacja społeczno-polityczna jest wyjątkowo skomplikowana. Choć przywódcy ludności murzyńskiej deklarują, że są gotowi do przejścia pełni władzy to muszą przyznać, że nie jestem do końca przekonany o ich możliwościach. Wystarczy przypomnieć, że społeczność murzyńska jest skłócona, a konflikt owocuje zbrodnictwami, wza-

jemnymi napaściami, które pociągają za sobą tysiące ofiar. Ten konflikt pogłębia się, nikt nie widzi wyjścia z sytuacji, przywódcy zaś nie wyrażają chęci porozumienia się. Jak wobec tego wyłonić reprezentację wspólnych przecież interesów? Jak zapewnić sprawne funkcjonowanie jednego z najnowocześniejszych państw świata, gdy wrogość w każdej chwili może się przenieść na inne grupy ludności? Biali z RPA nie mogą odejść. Mieszkają tam od pokoleń i jest ich ponad pięć i pół miliona. Gdzie wyjadą, kto ich przyjmie? Zresztą dlaczego mieliby wyjeżdżać? Czy w ogóle jest to do pomysłenia? Oczywiście nie!

Biali nadal i zapewne jeszcze przez wiele lat będą zajmowali większość kluczowych stanowisk, i z tym, moim zdaniem, trzeba się pogodzić. Trzeba, a odnoszę wrażenie, że to już się robi (przykład Uniwersytet Południowej Afryki w Pretorii), stwarzać możliwości uzyskania wysokich kwalifikacji wszystkim obywatelom państwa, by o awansie decydował nie kolor skóry, lecz umiejętności zawodowe. I dobrym tego przykładem okazał się Bank Rozwoju Afryki, gdzie na stanowiskach średniego szczebla pracuje kilku Murzynów. Z informacji dyrektora banku wynikało, że po dodatkowym przeszkoleniu przewiduje się ich dalszy awans. Te, jak i inne ruchy kadrowe, należy przeprowadzać z niezwykłą ostrożnością, tak aby w ten sposób nie stwarzać nowego źródła konfliktu. A głosy krytyczne, że we wszystkich dziedzinach zaczyna się faworyzować Murzynów, już się słyszy.

Coraz częściej wyrażane jest przekonanie, że w pełni demokratyczne wybory parlamentarne w RPA odbędą się jeszcze w 1993 r. Szeroko zakrojona akcja propagandowa i edukacja

demokratyczna „od podstaw” prowadzona jest od dawna. W społeczeństwie, którego większość członków nigdy nie tylko nie uczestniczyła w życiu publicznym, ale nawet się nim nie interesowała, jest to konieczne. Nie można zapominać, że poziom wykształcenia znacznej części ludności jest bardzo niski, a zrozumienie przez nich istoty mechanizmów demokratycznego państwa bardzo trudne. Przekonuje co do tego treść kolportowanych informatorów, przeznaczonych dla przyszłych wyborców – skrajnie, z konieczności, uproszczona. A przecież demokracja to nie tylko akt wyborczy dą parlamentu. Co będzie dalej?!

Dlatego niepokoić musi przekonanie przedstawicieli rządu i organizacji pozarządowych, wypowiedziane w toku prowadzonych przez nas rozmów, że korzystać należy z mechanizmów demokratycznych sprawdzonych w Europie. Wydaje mi się to błędem. Z doświadczeń tych z całą pewnością trzeba korzystać, ale zastosowanie wprost europejskich instytucji demokratycznych jest chyba niemożliwe. Nie można przecież zamykać oczu na wyjątkową, również na kontynencie, sytuację społeczną i polityczną w RPA. Nie można zapominać o liczbie białej ludności, o istnieniu innych społeczności pochodzenia hinduskiego, arabskiego. Nie można nie uwzględniać pogłębiającego się konfliktu wewnątrz społeczności ludności czarnej. Trzeba zaproponować coś specyficznego dla tego regionu Afryki. Co? Nie wiem, bo żeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba być w RPA nie tak jak ja, kilkanaście dni, a kilkanaście lat. Niebezpieczne byłoby jednak uczynienie czegoś po to tylko, by wykazać się „demokratycznością” systemu przed społecznością

międzynarodową, a co w ostateczności obróciłoby się przeciwko temu państwu, i tym razem już przeciwko wszystkim jego obywatelom.

Bardzo atrakcyjna była też część nieoficjalna mojego pobytu w RPA. W czasie pobytu z delegacją w Pretorii, w porze lunchu, udałem się do Ambasady Polskiej. Niewątpliwie warto było. Nie tylko spotkałem miłych i życzliwych ludzi, z którymi rozmowa w tak olbrzymiej odległości od Polski była szczególnego rodzaju przyjemnością, to jeszcze mogłem obejrzeć imponujący budynek Ambasady, godny Rzeczypospolitej. Zespół obiektów średniej wielkości robi na obserwatorze z zewnątrz bardzo dobre wrażenie, swym dopasowaniem do otoczenia, nowoczesnością i jednocześnie czymś trudno uchwytnym i niemożliwym do nazwania, co czyni ten obiekt „afrykańskim”.

Decyduję się jechać do Kapsztadu, zwłaszcza gdy dowiaduję się, że Prezes Polonii Kapsztadzkiej, Pan Wiesław Tymowicz, wyraził gotowość goszczenia mnie przez kilka dni, a Pan Ambasador zapewnił, że to człowiek wyjątkowy, o życzliwości prawie niespotykanej. Niebawem przekonałem się, że to więcej niż prawda. Ale po kolei. Pani w sekretariacie Ambasady ustala cenę biletu powrotnego do Kapsztadu. Wracam do Johannesburga, w recepcji proszę o rezerwację na samolot. Otrzymuję informację, że bilet na tę trasę jest już droższy, a na lotnisku doliczają jeszcze „VAT”. Ale odwrotu nie ma: z hotelu zrezygnowałem, Pan Tymowicz powiadomiony, samolot do Frankfurtu mam dopiero za kilka dni.

Lot do Kapsztadu samolotem linii wewnętrznych RPA trwa około dwóch godzin. Chmury ustępują tuż przed lądowaniem i wówczas ukazują się góry,

a potem zaraz miasto i Ocean Atlantycki. W kilka minut po lądowaniu jestem w hali dworca, wypatrując osób mnie oczekujących. Nie znamy się. Jak się później okaże jedynie zupełnie pewna informacja, jaka dotarła do Kapsztadu to ta, że jestem sędzią Sądu Najwyższego. W pewnej chwili zobaczyłem kartkę z napisem: „Witamy sędziego” i już nie mogłem mieć wątpliwości. Poznałem wówczas Panią Halinę Tymowicz i Pana, którego nazwisko uleciało mi z pamięci, co mam nadzieję, mi wybaczy, gdyż w ciągu następnych kilku dni poznałem kilkadziesiąt osób.

Po pół godzinie jestem już w domu Państwa Tymowiczów, obszernym, robiącym wrażenie wygodnego i bezpiecznego. Syn Tomasz studiuje marketing. Pani Halina zajmuje się domem. Prezesa Tymowicza nie ma w domu. Jako trener miejscowej drużyny piłkarskiej musi być ze swymi podopiecznymi w czasie rozgrywania bardzo ważnego meczu. Wracą w bardzo dobrym nastroju – mecz został wygrany, a pozycja drużyny umocniona. Do późnego wieczora rozmawiamy o wszystkim, co możliwe. Wiesław i Halina wyrażają gotowość poświęcenia kilku najbliższych dni na pokazanie mi miasta i okolic. Bez skrupułów przyjmuję tę propozycję, choć zdaję sobie sprawę z tego, że może nawet przekraczam granice przyzwoitości. Ale przecież może to jedyna okazja, jaka się już nie powtórzy.

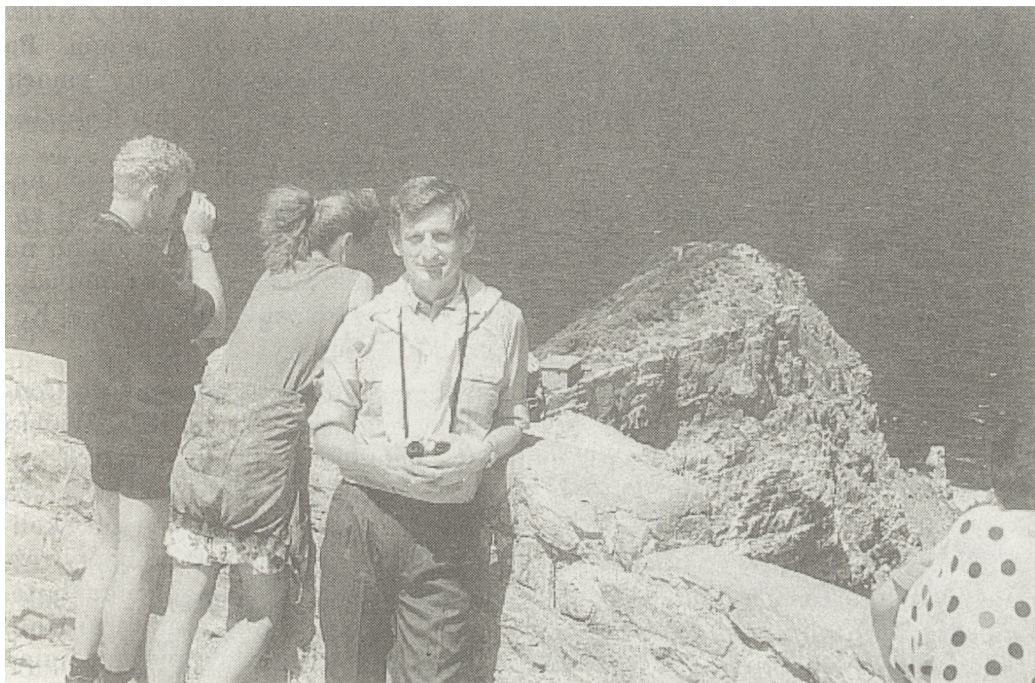
Być w Kapsztadzie i nie być na Górze Stołowej – to niemożliwe. Tam wybieremy się w pierwszej kolejności. Rano pada pytanie, czy w ogóle spałem. Zaskoczony odpowiadam pytaniem: dlaczego? Okazuje się, że w nocy był bardzo silny wiatr, uciążliwy nawet dla osób przyzwyczajonych, a dom stoi

przecież nie dalej jak 500 m od oceanu. Nie obudziłem się w nocy, choć sen mam lekki. Przez cały okres pobytu silny wiatr od Atlantyku będzie mi towarzyszył, łagodząc dość skutecznie gorące promienie bezchmurnego nieba i gorące tchnienie kontynentu. Na Górę Stołową można wejść, ale droga jest długa i dość uciążliwa. Przede wszystkim nie ma na to czasu. Wiatru prawie się nie czuje. Zza Góry wypływają obłoki, które wręcz obsuwają się po południowym stoku i giną nad miastem. Nie wiadomo, jaka pogoda i jaki wiatr jest na Górze – kolejka linowa pokonująca 1 000 m wysokości często nie kursuje. Podjeżdżamy samochodem do dolnej stacji. Dowiadujemy się, że po dwudniowej przerwie kolejka jest czynna. Wagoniki nieduże – dwa: jeden na górę, drugi w dół. Na dole gorąco. Gdy tylko ruszyliśmy w górę, zrobiło się nieco chłodniej, przyjemnie, ale po dalszych kilku minutach chłód stał się odczuwalny. Na szczycie okryłem się otrzymanym rano swetrem. Tu pogoda jest już inna, choć nadal słoneczna. Po drodze widzimy wytrwałych piechurów, kolorowe ptaki i niewielkie zwierzątka przypominające świstaki.

Góra Stołowa jest prawie jednolicie płaską skałą z bardzo ubogą roślinnością, natomiast widok z niej roztacza się przepiękny, panorama sięga dziesiątków kilometrów, na zachód, wzdłuż wybrzeża atlantyckiego, aż po kres horyzontu, zamknięty górami. Na północ góry są blisko i wydają się bardzo wysokie. Na południe Przylądek Dobrej Nadziei i Przylądek Igielny już zanurzony w Oceanie Indyjskim. I widok najbliższy w stronę Kapsztadu i jego przedmieść ciągnących się w obie strony od portu kilometrami.

Kolejna wycieczka, już innego dnia, na Przylądek Dobrej Nadziei – podróż na „koniec świata”, gdzie, chcemy wierzyć, spotykają się dwa oceany. To miejsce, zdaniem geografów, to jednak Przylądek Igielny, położony nieco dalej na południe. Do Przylądka Dobrej Nadziei z Kapsztadu jest około 40 km, najpierw wyśmienitymi a potem nieco gorszymi, ale cały czas krętymi drogami, wśród wzgórz i coraz bardziej dzikiej przyrody. W jedną stronę jedziemy wschodnim wybrzeżem. Zatrzymujemy się na pięknej, choć w części skalistej plaży, gdzie woda jest przejrzysta, bardzo słona, bardzo zielona i zdecydowanie ciepła. W pobliżu portu marynarki wojennej – pomnik psa marynarza, który długie lata dosłownie pełnił służbę, figurując na liście załogi. Kto psa tego pogłaszcze po głowie, do miejsca tego powróci. Oczywiście, głaszcę. Jest bardzo gorąco i samochód pozostawiony nawet w cieniu przez pierwszych kilka minut jazdy jest łaźnią. Ale ubrani jesteśmy lekko, a Wiesio z Halinką zadbali o dobrych kilka prawie zamrożonych butelek piwa, które w tych warunkach są czymś niezastąpionym.

Zbliżamy się do rezerwatu przyrody, obejmującego znaczną część Przylądka. Samochody mijamy bardzo rzadko. Natomiast drogę zastępują nam liczne stada małp. Nie wysiadamy, bo są z małymi, a dowiaduję się, że są one nie tylko złośliwe, ale i agresywne. Przez tymczasowe przejście (nowe jest w budowie), wjeżdżamy do rezerwatu, a droga kończy się kilkaset metrów przed krańcem przylądka. Można tam dojechać mikrobusem, ale decydujemy się na spacer, cały czas pod górę. Miejsce widokowe to pozostałość, zapewne, dawnej latarni morskiej, ograniczone niewysokim murem z kamienia; obok



Autor na Przylądku Dobrej Nadziei
fot. autora

znajdują się zabudowania stacji meteorologicznej. Do powierzchni wody nie mniej niż 100 m. Na południe i zachód bezkresny ocean, na wschód Przylądek Igielny i Ocean Indyjski, na północ zarys Góry Stołowej, a za nią Kapsztad. W tym też kierunku widok rezerwatu z góry i rozchodzące się ku Fałszywej Zatoce i Atlantykowi urozmaicone brzegi przylądka, z niewielkimi plażami niezwyklej urody. Jest chłodno, od Atlantyku wieje wiatr. Dostrzegamy pływającego wieloryba, a nad nim, ale dużo poniżej przylądka, przełatuje samolot Straży Przybrzeżnej. Widok do zapamiętania na całe życie.

Wracamy wybrzeżem zachodnim, po drodze wstępując do zarządu rezerwatu i zatrzymując się w miejscach, gdzie roślinność jest szczególnie bogata. Tu tylko, na południowym skrawku Afryki, rosną protee, kwiaty objęte

całkowitą ochroną, ale hodowane dla turystów.

Wstąpiliśmy też do szlifierni kamieni, zwożonych tam z całego południa Afryki. Ekspozycja imponująca, pamiątki w nienajlepszym guście, ale i pomysł wyśmienity: przestrzeń kilkudziesięciu metrów wyłożona czymś przypominającym wykładzinę dywanową, na którą wysypuje się tysiące wstępnie szlifowanych kamieni. Kupuje się plastikową torebkę mniejszej lub większej wielkości, w którą można zabrać tyle kamieni, ile tylko się zmieści. We trójkę wyszukujemy, naszym zdaniem, najpiękniejsze: ametysty, agaty, karmeliany, jaspisy, kwarcy i, najbardziej wyjątkowe, tygrysie oczka, mieniające się wieloma kolorami.

Droga powrotna prowadzi bardziej skalistą stroną Przylądka, a w wielu miejscach przypomina wybrzeże wło-

skie w okolicach Sorrento. Wczesnym popołudniem zatrzymujemy się w przydrożnej restauracji, gdzie frutti di mare są wyśmienite. Na pobliskiej plaży kąpie się grupa wyjątkowo czarnych dzieci.

Kolejny dzień spędzamy w Kapsztadzie. Plaże w czasie odpływu bardzo szerokie, ciągną się aż do granic widoczności. Woda w Atlantyku niewiele cieplejsza od bałtyckiej, ale to skutek przepływania w tym rejonie zimnego prądu. Oczywiście, kąpię się, bo jak można inaczej. Ludzi niewiele, oprócz mnie nikt nie wchodzi do wody, do początku sezonu jeszcze daleko, wszak to dopiero koniec wiosny.

Zwiedzam miasto. Zabytków niewiele. Twierdza, która nigdy nie została zaatakowana, znajduje się w wyśmienitym stanie, a wiele budynków do dziś służy armii południowoafrykańskiej. Przewodnik opowiada barwnie, widać, że dobrze jest przygotowany. W pobliżu twierdzy obszerny plac, w tym tygodniu będący parkingiem, a w niedzielę placem targowym. Po jednej stronie postkolonialny w stylu ratusz miejski, a na przeciwko pomnik Edwarda VII, a w tle nowoczesne budynki centrum i, oczywiście, Góra Stołowa.

Zdążamy do starego centrum – zespołu budynków Parlamentu. Tuż obok kościoła katedralny biskupa Tutu, dalej pomnik L. Bothy, przedmiot, na szczęście nie niszczycielskich, ataków demonstrantów, i strzeżony kwartał kapsztadzkiej rezydencji Prezydenta de Klerka, dowództwa straży i gmachy Parlamentu. Ponieważ wnętrze było w tym czasie niedostępne, przechodzimy do ogrodu botanicznego, gdzie robi się nieco chłodniej a zobaczyć można rośliny nie tylko z całej Afryki, ale także z innych kontynen-

tów, w tym najzwyczajniejszy dąb z wrośniętą weń XIX-wieczną pompą. Po drugiej stronie ogrodu spory gmach Sądu Najwyższego Prowincji Kapsztadzkiej.

Stąd już tylko krok do nowego i nowoczesnego centrum ze sklepami zaopatrzonymi we wszystko, co nam na szczęście nie może dziś już imponować. Ale warto zauważyć, że tu, w Kapsztadzie ceny wyraźnie niższe.

Następnego dnia – jedziemy do Constaney – innego centrum RPA. Widoki jak w południowych Niemczech, Francji czy Włoszech, a winiarnia, którą odwiedzamy, najstarsza w tych okolicach, cicha i chłodna. Próbujemy różne gatunki wina, kupuję kilka butelek. Wracamy do Kapsztadu i tu Halina robi tygodniowe zakupy w podmiejskim supermarkecie. To też swego rodzaju atrakcja, bo obiektów handlowo-usługowych o takich rozmiarach jeszcze u nas nie ma, a tu, gdzie jesteśmy, można kupić wszystko na codzienny użytek i znacznie, znacznie więcej. Z przyjemnością oglądam obfitość i różnorodność, zwłaszcza działów spożywczych. Ceny znów stosunkowo niższe niż u nas.

Późnym wieczorem spotkanie z Polonią w imponującej rezydencji Pani Teresy, przedstawicielki Polonii. Jest kilkadziesiąt osób, rozmowa, oczywiście, o polityce, o Polsce, bo nią tu wszyscy żyją, bez względu na to, czy przyjechali kilka, czy kilkadziesiąt lat temu. Spotkanie, dla mnie, niezwykle udane, potwierdzające ocenę Ambadora Stanisława Cieniucha, że w Kapsztadzie jest to środowisko zintegrowane, w czym wielka dziś i na przyszłość zasługa Wiesława Tymowicza, człowieka młodego, ale urodzonego działacza społecznego, który swym wyjątkowym sposobem bycia musi bu-

dzić, moim zdaniem, sympatię każdego.

Dzień ostatni – jedziemy do nowego centrum handlowo-rozrywkowego w rejonie starego portu w Kapsztadzie. Nowy parking podziemny, szereg obiektów w budowie, ale te które już są, muszą imponować. Nie chodzi o to, że nowoczesne, bo to już i u nas można zobaczyć. Zwraca uwagę wykorzystanie starych budynków portowych, ich modernizacja i skomponowanie XIX-wiecznej zabudowy z najnowocześniejszymi konstrukcjami, gdzie pomieszczono kilka kin, setki sklepów i innych użytecznych urządzeń. Wszystko to mieści się na wybrzeżu w pobliżu funkcjonującego portu handlowego, a w tle muzeum morskiego cumują żaglowce i okręty szkolne marynarki wojennej RPA.

Na ostatni obiad zostaliśmy zaproszeni do Pani Danuty, innej przedstawicielki Polonii, mieszkającej w bardzo eleganckiej dzielnicy Kapsztadu, w zespole obiektów ogrodzonych i strzeżonych. Dania typowo polskie, bo i dom przecież polski.

Po południu odlatuję do Johannesburga. Bagażu przybyło, bo kupiłem upominki, a także otrzymałem wiele prezentów. W oddzielnym pudełku, które cały czas będę miał ze sobą, wiozę kilka gatunków protei, kupionych na targu kwiatowym w Kapsztadzie. Zasuszone będą stały latami.

Na lotnisku Jana Smutsa złe wiadomości. Samolot z Frankfurtu jeszcze nie przyleciał – będzie duże opóźnienie. Nie mam innego wyjścia, pozostaję na miejscu. Przechodzę do hali odlotowej i czekam, czekam. Dworzec pustoszeje, zbliża się północ, a słyszę jedynie informacje o dalszym opóźnieniu. Trochę czytam, ale ile można, zwłaszcza że fotele są zdecydowanie niewygodne. Cały czas pamiętam o pudełku protei. O w pół do drugiej w nocy w końcu jesteśmy w samolocie. Dowiaduję się, że były kłopoty z silnikami (ciśnienie oleju), a we Frankfurcie pojawimy się wówczas, gdy mój samolot będzie już w Warszawie. Dolatujemy zmęczeni do Frankfurtu i tam kolejne sześć godzin oczekiwania na samolot do Warszawy. W końcu po 24 godzinach od wyjazdu z Kapsztadu jestem na Okęciu. Wydaje mi się to wyjątkowo długo. Okazało się jednak w miesiąc później, że może być gorzej: w grudniu z Bolonii, z powodu mgły, też wracałem 24 godziny, a odległość przecież nieporównywalna.

Była to podróż wyjątkowa. Może nie ostatnia, jeżeli w 1993 r. w RPA odbędą się wybory, przewiduje się udział zagranicznych obserwatorów i z tego, co wiem, członków AWEPA nie zabraknie. Ja zaś mam nadzieję, że zapamiętał mnie pies-marynarz, którego pogłaskałem w drodze na Przylądek Dobrej Nadziei.